

## Pozostałości chrześcijańskiego myślenia w kulturze świeckiej

Autor tekstu: **Piotr Napierała**

**T**emat ten wybrałem na I oficjalne spotkanie poznańskiego oddziału Polskiego Stowarzyszenia Racjonalistów, ponieważ wydał mi się najbardziej uniwersalny i najbardziej na czasie, ponieważ to co dotyczy szeroko rozumianej kultury jest zazwyczaj podstawą do rozważań na inne tematy, takie jak: istnienie i podstawy programu prawicy laickiej, kwestia walki teokracji z oświeceniem w epokach, w których to ostatnie wydawało się już zwyciężać, kwestia podpierania się KrK pożyczonym blaskiem Rzymu antycznego spod znaku SPQR, kwestia haseł: typu: „Rozum-Wolność (Normalność)-Tolerancja”, które można by przeciwstawić przasnemu: „Bóg, honor, ojczyzna”, czy kwestii boskości niejakiego Wojtyły. Myślę, że te inne kwestie mogą poczekać, i że musimy zdać sobie sprawę jak dalece nasza antyczno-filozoficzna kultura oparta na szacunku dla prawdy i na odpowiedzialności człowieka tej prawdy poszukującego jest zainfekowana przez wirus (post)chrystianizmu.

Jeśli nie nadejdzie nowe średniowiecze i ludzie przejrzą na oczy i wydorosleją, zamiast zwać odpowiedzialność na bóstwo, Polacy zauważą, że KrK i Polska mają przeciwne interesy, amerykańscy kongresmeni przyznają się (w liczbie większej niż 1) do ateizmu, zamiast tworzyć fikcję o „moralności religijnej” (możliwe, że wskutek wpływu religijnego „obowiązku” wśród polityków jest tak wielu idiotów z poczuciem misji), a katolicy przejdą chociażby na protestantyzm, tj. religię, która przynajmniej nie opiera się na rządzących władzy i forsy, to nadal dzisiejszym oświeceniowcom pozostanie wiele do zrobienia. Będziemy musieli zmierzyć się z pozostałościami chrześcijańskiego stylu myślenia w naszej kulturze. Kultura jest bowiem najważniejsza. Komunista Antonio Gramsci twierdził, że ten, który ustala standardy znaczenia słów przejmując władzę nad kulturą. Kościoły wydają się być świadome wagi tej wojny kulturowej, stąd chrześcijańskie próby monopolizacji pojęć, zwłaszcza tych pozytywnie się nam kojarzących. Miłość musi być więc ponoć chrześcijańska, Chrystus jedynym nauczycielem moralności, personalizm chrześcijański słuszną odpowiedzią na „falszywy” liberalny indywidualizm, a ekumenizm na naturalną różnorodność. Pod wpływem tej propagandy nawet ludzie myślący zapominają czasem, że miłość chrześcijańska jest sadomasochistyczną (relacja pan-niewolnik) parodią prawdziwej miłości, że Chrystus jako nauczyciel moralności jest bardzo niekonsekwentny i nieracjonalny i nie wytrzymuje porównania z Konfucuszem, Voltaire'm czy nawet Ciceronem, że personalizm chrześcijański jest po prostu nowym wcieleniem dawnej kościelnej propagandy, która nie znosi ludzkiej niezależności bardziej niż cegółki innego, a ekumenizm to po prostu inna nazwa na sojusz przeciw sceptykom religijnym (nawet dość rozsądny w kwestii funkcji religii zinstytucjonalizowanej luterański biskup Jan Ostryk powiedział, że ekumenizm to sojusz przeciw tym, co chcą zepchnąć religię zupełnie na margines). Chrześcijanie i ich mentorzy udają, że nie ma ateistycznych działających systemów etycznych choćby tych autorstwa Kanta i d'Holbacha, tak jakby nic się nie zmieniło od XII wieku...

Chrześcijaństwo dąży więc do monopolizacji. To dążenie Christopher Hitchens porównał z manią nazywania wszystkiego królewskim w Wielkiej Brytanii. Mamy więc Royal Navy, Royal Hospital, Royal Institute, a u nas KUL... Chodzi o to, że ludzie rzadko buntują się przeciw czemuś, co staje się dla nich oczywiste przez swą wszechobecność. Być może dlatego tacy zabawni są wrogowie dominacji języka angielskiego (zazwyczaj nie znają oni tego języka, lub jak lewicowcy lat 60. i 70. Uważają angielszczyznę za język imperializmu), różnica polega jednak na tym, że język angielski jest przydatny do obiektywnych celów, a religia i monarchizm (sam jestem umiarkowanym monarchistą, ale lubię jak monarchiści są uczciwi w swej propagandzie) są niejako wpychane na siłę tam, gdzie nikt ich nie chce nie spełniając żadnego celu, no bo jaki cel spełniają słowa? Piłsudski mówił, że z Polakami nie ma sensu dyskutować, lecz trzeba stworzyć im odpowiedni nastrój, może dlatego antymonarchistów w Anglii rzadko drażni jakiś Royal Hospital.

Pierwszym wielkim (post)chrześcijańskim motywem naszej kultury - nawet tej rzekomo świeckiej jest nieufność wobec ludzkiej ambicji odbieranej często jako przejaw pychy. Religianci i ludzie przez nich wychowani zapominają, że obecną relatywnie wysoką jakością życia zawdzięczają właśnie tej „pysze”. Ludzie XVII i XVIII wieku podnieśli się z klęczek i rzucili wyzwanie naturze, czyli rzekomym odwiecznym ludzkim prawom, co wymagało wiele odwagi, stąd oświeceniowcy łagodźli owe starcie deizmem, a ludzie XIX wieku pesymizmem egzystencjalnym. Dopiero Nowy Ateizm uznaje owe podniesienie się z klęczek za jednoznacznie pozytywne. Niedawno w dyskusji ze mną na temat istnienia bądź nieistnienia prawicy laickiej katolicki konserwatysta prof. Wielomski przytaczał Racjonalista.pl

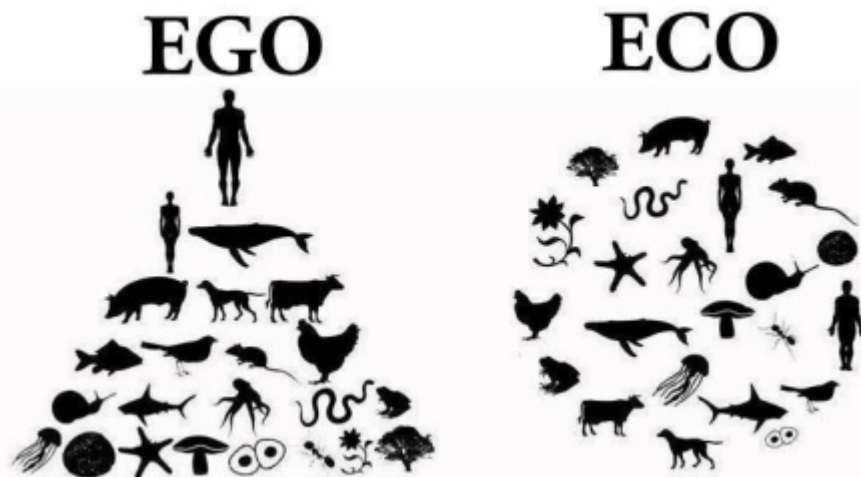
cytat z Renana: „Bądź piękny, oto moralność cała”, Renanowi chodziło o moralność w świecie bez Boga, co koresponduje poniekąd z poglądami Nietzschego, który twierdził, że chrześcijaństwo było buntem małych, głupich słabych, tchórzliwych i brzydkich przeciw panom antyku; , bezwzględny, odważny, silny, mądry i pięknym właśnie. Mówimy tu o pewnej konstrukcji psychologicznej ludzi XIX wieku, którzy wiedzieli już, że nie ma sensu wyznawać żadnej religii, bo to jest sprzeczne z tym co wiemy o świecie dzięki zdobyczom nauki, i poza tym ogłupia człowieka, ale jeszcze nie nauczyli się znajdować radości z tego stanu. Wydawało im się, że utrata Boga to coś złego. Niedawno chyba Sam Harris pisał, że religijanci mają problem jak traktować nowych ateistów cieszących się a nie martwiących swą niewiarą, bo nie pasują już od ich stereotypu zbłąkanych owieczek. Tymczasem Richard Dawkins pisze:

*Być ateistą to żaden wstyd. Wprost przeciwnie: wyprostowana postawa, która pozwala spoglądać dalej, powinna być powodem do dumy — bo ateizm prawie zawsze świadczy o zdrowej niezależności umysłu... Wielu jest ludzi, którzy w głębi duszy wiedzą, że są ateistami, ale boją się do tego przyznać nawet własnej rodzinie, a niekiedy nawet samym sobie. Boją się po części dlatego, że samo słowo „ateista” starannie obudowano najgorszymi, najbardziej przerażającymi skojarzeniami... Jeżeli ludzie tak często nie dostrzegają ateistów, to dlatego, że wielu z nas nie ma odwagi się „ujawnić”. Być może potrzebna jest jakaś masa krytyczna, by uruchomić reakcję łańcuchową....*

W XIX wieku utrata wiary był jeszcze zbyt świeża i zbyt egzotyczna, tak samo jak rewolucyjne systemy naukowe bazujące na ewolucjonizmie Darwina czy odpowiedź Laplace’a na zarzut Napoleona, że w jego teoriach nie ma wzmianki o bogu. Laplace odpowiedział: „Ta hipoteza nie była mi potrzebna” („Je n'ai pas besoin de cette hypothèse”), by ateści stali jeszcze pewnie na swoich nogach. W przeciwieństwie do ludzi religijnych, ateści mają zazwyczaj o wiele większą świadomość odpowiedzialności moralnej człowieka, i musieli przemyśleć pewne sprawy. Nieuczciwością jest stawianie przez dzisiejszych religiantów starego i nowego ateizmu na tym samym poziomie. W XX wieku E.M. Forster już pisał, że każdy powinien zostać wychowany z dala od tych przesądów, które każą człowiekowi nienawidzić drugiego w imię boże.

Religijanci i ludzie znajdujący się pod ich wpływem krytykują więc ludzką „pychę” i jej wytwory, stąd pochodzi ponad połowa katastroficznych wizji jakie znamy z filmów SF i, co już bardziej poważne połowa pesymistycznych wizji przyszłości jaka ponoć czeka ludzkość. Pisałem już o tym artykuł pt.: „Mit dekadencji”, do którego napisania zainspirował mnie Jacek Tabisz swoim tekstem pt.: „Dzień przyszłości”, w którym pisał o świecie obchodzonym po raz pierwszy 1 marca 2012 roku przez optymistów cywilizacyjnych, Chodzi o optymistów stawiających na naukę i postęp oraz spodziewających się pomyślnego rozwoju ludzkości, w którym wraził swoje zdziwienie faktem, że nawet wielu ludzi o liberalnych poglądach, uważa taki optymizm cywilizacyjny za coś nieprzyzwoitego i niewłaściwego, pisałem właśnie o tym fenomenie.

Zupełnie jakby optymizm miał na nas sprowadzić nieszczęście. Zresztą jakie to chrześcijańskie! Havel pisze o „cywilizacji pychy”, choć moim zdaniem to średniowiecze wykazywało się pychą duszy gardzącej ciałem i umysłu, pycha człowieka, który udawał, że wie czego chciałby bóg. Spójrzmy na hollywoodzkie filmy, które pokazują jak „Titanic” i „Hindenburg” płoną niczym przekłute balony dumy techników. Ludzie bojący się ludzkiej ambicji jak twórca pojęcia neokonserwatyizmu Irving Kristol (ur. 1920) starają się np. udowodnić wyższość anglo-szkockiego oświecenia sceptycznego, nad francuskim, zbyt jego zdaniem entuzjastycznym. Kristol zastanawiał się dlaczego francuskie oświecenie doprowadziło do tak gwałtownej zmiany, jaką była rewolucja, a anglo-szkockie preferowało podejście reformistyczno-ewolucjonistyczne. Kristol zapominał, że np. Voltaire reprezentował pod tym względem raczej oświecenie „anglosaskie”, a np. Thomas Paine „francuskie”, jak również o tym, że gdyby nie banda Robespierre’a (która rządziła dopiero w latach 1793-1794) rewolucja miałaby przebieg w miarę cywilizowany jak również o tym, że francuscy oświeceniowcy często musieli być radykalniejsi działaniu, bo napotkali na większy opór tronu, który nie chciał opuścić ołtarza.



### Hierarchia i egocentryzm — symptomy post-chrześcijańskiego myślenia.

Mamy więc mity o dekadencji ludzkości, o dehumanizacji i o ludzkiej rzekomej pysze. Liberali Herbert Spencer martwił się, że liberałowie chcą „nieoliberalnie” (tj. siłowo) wprowadzać liberalizm i przewidywał „niewolę przyszłości”. Ludzie XIX wieku i początków wieku XX postrzegający społeczeństwo jako organizm bali się cywilizacji opartej na „sztucznej” technice, np. Oswald Spengler (1880-1936), biadolił, że biurokracja stanowi symbol bezdusznej cywilizacji zastępującej żywą kulturę (mechanizm zamiast organizmu, „blokowisko” zamiast „katedry gotyckiej”). Tak jakby człowiek zerwał jakiś święty pakt! Nawet u Neila Postmana (1931-2003) znajdziemy to samo. Ten entuzjasta oświecenia, do którego powrót postuluje, przez odrzucenie postmodernistycznego bełkotu, uważał też np., że: XIX-wieczna Ameryka była szczytem jeśli chodzi o racjonalność — była Wiekiem Rozumu, w którym dominującą rolę odgrywało słowo pisane. W tym okresie złożone argumenty mogły być przekazywane bez nadmiernych uproszczeń. Wynalezienie telegrafu i fotografii zapoczątkowało schyłek tej epoki a telewizja doprowadziła ostatecznie do jej końca. Nie dostrzegł jednak, że inne medium — Internet zadaje nieracjonalności coraz większe ciosy (choć dość chaotycznie).

Czy rzeczywiście nasze czasy zasługują na taki pesymizm? Ok. Środowisko trochę zatrute, a muzułmanie szaleją, jednak kiedyś w Boże Ciało świętowano paląc heretyków (za heretyków uważano też często pierwszych naukowców) na stosie, ludzie umierali na gripę i mieli chroniczną awitaminozę, mam nadzieję więc, że każdy liberalny optymista docenia, że na razie nikogo na stosach się nie pali, a fakt, że tak wiele myślimy o problemach tzw. Trzeciego Świata, świadczy o względnej łagodności naszych problemów. Musimy jedynie pilnować by miłośnicy średniowiecza (czasem skryci pod maską postmodernizmu) nie objęli znów steru rządów. Każdy myśli, że problemy jego epoki są wyjątkowe, a lekceważy problemy innych epok. Idealizujemy też przeszłość i tworzymy mity o „Złotych Wiekach”, z którymi tak świetnie rozprawiał się Woody Allen w „O północy w Paryżu”.

Konserwatyści kultywują przeciętność (co czasem prowadzi do uwielbienia jednostek, które gardzą przeciętnością, jak w np. przypadku Pima Fortuyna) i wychwalają ją, chcą sprowadzić świat do rangi przerośniętej parafii, udawać, że ludzie się od siebie nie różnią, że wszyscy mogą i zechcą podporządkować się tym samym prawom, i potępiają geniuszy, którzy kradną ludziom wszechmocnego boga. Kato-konserwatyści zarzucają lewicy uniformizację obywateli, ale to oni do niej dążą.

Nie dziwi mnie rzecz jasna, że w czarnych barwach przyszłość widzą konserwatyści, dla których niemal każda zmiana oznacza zagrożenie ich parafialno-prowincjonalnej wizji świata i człowieka. Dlaczego jednak np. film SF i książka SF stały się w naszej kulturze niemal synonimem dzieła katastroficznego? Czy chodzi tu o to, że intelektualiści są zmęczeni teraźniejszością i podświadomie chcieliby ją zniszczyć? A może tylko doznają nieco perwersyjnej radości z tego, że niszczą świat w którym idioci towarzyszą im na każdym kroku, dręczą ich z zazdrości w szkołach (zwłaszcza tych staroświeckich mach-szkołach wioślarsko-jeździeckich z internatem :), a potem decydują o ich starości? Może chodzi o to, że filozofowie czują się niedocenieni? (zazdrością o forszę libertarianin David Boaz tłumaczy częsty wśród intelektualistów antykapitalizm) Skoro człowiek z trudem rozumie zasady ruchu planet, ponieważ myśli kategoriami trudu i zmęczenia tj., że planety muszą spalać

swój ruch niejako „ze zmęczenia” (w rzeczywistości grawitacyjne siły są stałe i nie wyczerpują się), to może myśli, że rzeczywistość też jest sobą zmęczona i musi kiedyś popaść w dekadencję by „odpocząć”? Może chodzi o egoizm umierającego, który nie chce by świat go przeżył (lub tylko trochę przeżył)? Może chodzi o chrześcijański egoistyczny mit własnego zbawienia i fatalną linearność chrześcijańskiej wizji historii? Lub o mit grecko-rzymsko-chrześcijański o pysze człowieka (Grecy przynajmniej Prometeusza, który zdrwił z bogów, uważali za herosa), którą po prostu trzeba ujarzmić (Havel pisał o obecnej „cywilizacji pychy”, choć moim zdaniem to raczej klerykalne szermujące boskim słowem średniowiecze zasługuje na to miano, niż epoka pokory wobec nauki tj. faktów). A może chodzi tylko o ostrzeżenie, lub o to, że katastrofy dobrze się sprzedają? W każdym razie nawet jak przewidują przyszłość na serio, dają się ponosić złym przeczuciom.

## Mit ludzkiej pychy

Zauważmy jak bardzo chrześcijańskie magiczne skrupuły i mnożone tabu przeszkadzają nauce; transfuzjom, sztucznemu zapłodnieniu, a nawet badaniom budowy oka, bo „oko to zwierciadło duszy”...

Ten mit „pysznej” cywilizacji niszczącej samą siebie i wrogość wobec ludzkiej ambicji często łączy się z (post)chrześcijańską deprecjacją ciała i nadmiernym uwielbieniem „duszy” (choć „dusza” to tak naprawdę synapsy i mózgowie komórki, a więc również ciało). Tak jest np. u filozofa i pisarza SF Georga Herberta Wellsa.

Nie ma wyraźnego podziału między filozofowaniem czy socjologizowaniem na temat przyszłości, a literaturą SF. Zawsze chodzi o projekcji myśli bieżącej epoki na temat kierunku w jakim idą sprawy cywilizacji. Geneza SF jest filozoficzna (Swift i jego *Guliver's Travels* - satyra SF na państwa XVIII-wieczne i ich funkcjonowanie, Voltaire i „Mikromegas” — filozoficzna powiastka, gdzie przybysze z kosmosu uczą ziemian prawdziwej Locke'owsko-podobnej filozofii, Sebastian Mercier i *An 2440* — optymistyczna wizja oświeconej przyszłości, wygnanie metafizyki sprawna opieka społeczna, szkolnictwo, równość praw, ponumerowane domy i szerokie ulice). W XIX wieku mamy zarówno „czysto naukowych” autorów SF (Verne), jak i filozofujących, czy też socjologizujących (zwł. Herbert George Wells). W dziele Wellsa; *Wyspa doktora Moreau* z 1896 roku, widzimy wizję niebezpieczeństw wynikających z niekontrolowanych i nieodpowiedzialnie prowadzonych badań naukowych. To chyba najbardziej konserwatywna powieść Wellsa, który przedstawił w niej tzw. zwierzoludzi, tj. zwierzęta, które doktor Moreau chce uczynić ludźmi, ale to się nie udaje i bardziej dochodzi do głosu 'zwierzę w człowieku", niż człowiek w zwierzęciu. Mamy tu więc parodię darwinizmu, oparta na bezsensownym założeniu, że obniżenie IQ i zezwierzęcenie są pożądane w procesie adaptacji środowiskowej. Główny pozytywny bohater „Wyspy...” Edward Prendick po powrocie z niej bierze zwykłych ludzi za „zwierzoludzi” z wyspy, co jest kalką z Guliwera Swifta, który po powrocie z kraju cywilizowanych koni, nie może dogadać się z ludźmi, bo rozpoznaje w nich dzikich yahoosów. Z tą różnicą, że Swift ganił ten idealizm Guliwera, który powinien akceptować ułomności ludzi, a u Wellsa Prendick jest cały czas bohaterem wzorcowym.

O rok wcześniej od „Wyspy...” ukazał się "*Wehikuł czasu* (1895), dzieło o wiele lepsze, choć również pesymistyczne. Główny bohater powieści przenosi się do roku 802.701, kiedy cywilizacja ludzka zdążyła już ku nieuchronnemu upadkowi, a Ziemia została podzielona pomiędzy dwa gatunki ludzi. Elojowie, potomkowie klas posiadających, żyją na powierzchni i są pożywieniem zamieszkujących podziemia Morloków. Są to potomkowie dawnych robotników, zmuszonych do pracy fizycznej pod ziemią, a przy tym nie tracących podstawowych fizycznych umiejętności. Ich ciało stało się podobne do owadów i przyzwyczało do warunków podziemnych, dlatego boją się światła. Żywią się mięsem Elojów, na które zapuszczają się pod osłoną nocy, dlatego ci muszą spać razem wewnątrz budynków. Mamy tu do czynienia z socjalistyczną walk klas posuniętą do biologicznego absurdu, a więc projekcję XIX-wiecznych strachów na warunki rzekomej przyszłości. Wells wierzył, że do rozwoju i podtrzymania inteligencji potrzebne są trudy i wolność. Wolność zapewne rzeczywiście, ale czy trudy życia są aby na pewno czynnikami kształtującymi charakter? Średniowiecze pokazuje, że człowiek potrafił w trudach sięgać przez 100 lat po narkotyk religii przejawiając mało sensownej działalności. Bardzo ciekawy jest też u Wellsa jego negatywny stosunek do luksusu czyniący z ludzi dekadentów podobnych dzieciinniałym Elojom, których interesowała jedynie sztuka i erotyzm, przy pewnej dozie ledwo ukrywanej sympatii do odrażających Morloków (zupełnie jakby była to apoteoza trudu a la Jack London i Buck). Dla filozofów trudu erotyzm i sztuka oznaczają pewne „poddanie się”, rezygnację z człowieczeństwa, być może mają oni zbyt wiele post-chrześcijańskich i post-rzymskich hamulców obyczajowych, by zgodzić się z notabene przeintelektualizowanym Johnem Stuartem Millem (którego ojciec prawie wykończył

swoim eksperymentem edukacyjnym), że w człowieku: „tylko żołądek bywa w pełni zadowolony”.

Pamiętam artykuł w „Najwyższym Czasie”, którego autor wszystkie „wyższe” ideały przypisywał prawicy, podczas gdy duchem lewicy miały być „brzuch i seks”. Ale z drugiej strony szczęście (podobnie jak ból) możemy odczuć tylko cieleśnie, dlatego perwersją jest dla mnie zapowiedź raju, gdzie przez miliony lat radować się będzie czysta dusza; CZYM miałyby ona się radować?

Wpływ Cesarstwa Rzymskiego, które upadło wskutek niewydolności administracyjnej, i agresji sekty chrześcijańskiej, ale upadek który wiążemy z nawykiem z jakimiś orgiami i zanikiem poczucia obywatelstwa (Petroniusz był jednocześnie wzorowym obywatelem i miłośnikiem orgii), każe nam stawiać znak równości między pojęciami: erotyzm/sztuka i dekadencja. Mimo iż nawet duch jest mózgiem, a mózg ciałem nadal tkwimy w jakimś kartezjańskim dualizmie karzącym nam gardzić ciałem (K. Deschner uważał, zgodnie z tezą Nietzschego, że chrześcijaństwo jest zemstą brzydkich i biednych, zresztą już Edward Gibbon w XVIII wieku zarzucał chrześcijanom zniszczenie Imperium Romanum), cywilizację utożsamiać z ideą, choć idealiści duszy zwykle preferują nawyk i tradycję, obawiając się każdej naprawdę świeżej idei. W każdym razie katastrofizm Wellsa jako oparty na niedocenianiu siły instynktu i gardzeniu ciałem i erotyką jest bardzo niewiarygodny. Mieliśmy wielu wybitnych, choć „zepsutych” polityków oddających się cielesnym rozkoszom jak choćby Ludwik XIV, Talleyrand, Filip II Orleański, Edward VII, Winston Churchill, Napoleon, Martin Luther King, JF Kennedy, Metternich, Palmerstone, John Wilkes, czy Henry Bolingbroke, jak również wielu ascetycznych nieskutecznych mędrków: Filip II, Woodrow Wilson, Karol I Habsburg... Oczywiście znajdziemy też i przykłady „zepsutych” rozkoszami miernot (Edward VIII) i ascetycznych skutecznych polityków (Gandhi, Lincoln). To samo dotyczy prostych żołnierzy i cywilów. Działanie nie ma nic do „trudu”, a rozkosze i wygody mogą stymulować umysł i rozładować emocje. Proste prawda? Otóż nie dla chrześcijan.

W 1923 roku Wells napisał dla odmiany bardzo optymistyczną powieść: *Ludzie jak bogowie* (*Men Like Gods*). Bohaterami jej są ziemianie, którzy trafiają do świata równoległego, którego mieszkańcy wyprzedzają społeczeństwa naszej planety o wiele lat. Nie ma tam już chorób, wojen, niesprawiedliwości, a mieszkańcy bez przeszkód mogą rozwijać swe osobowości. Wells obnaża w powieści absurdy rządzące Ziemią XX wieku. Mieszkańcy świata równoległego są zdrowsi i stosunkowo nieliczni, co sprawia, że gospodarują ziemią lepiej i żyją na lepszym poziomie. Ziemianie jednak szybko drażnią ich swym egoizmem i zarażają zarazkami, co powoduje, że pozostają oni w areszcie domowym. Jedynie główny bohater-liberał będący zapewne personifikacją Wellsa sprzyja mieszkańcom świata równoległego widząc w ich świecie urzeczywistnienie jego marzeń, dlatego próbuje udaremnić spisek ziemian przeciw gospodarzom planety. Nie znajduje niestety sprzymierzeńca w łagodnym z natury konserwatywnym pośle Izby Gmin, który jak to potem powiedziano: „nie wierzy w nic poza byciem wykwinnym gentlemanem”. Reszta ziemian to oszuści, oszustki i hieny społeczne. Wells pokazuje, że możliwe jest rozsądne, oparte na nauce, eksploatawanie ziemskich zasobów i że przyszłość może znakomicie „rozgrzeszyć” ludzką ambicję dając nam lepsze życie, tak jak naukowe odkrycia z przeszłości dały je nam. Jednak nadal najlepiej sprzedają się książki katastroficzne, nawet jeśli są dziełem poważnych politologów jak np. dzieło Waltera Laqueura (ur. 1921) : *Ostatnie dni Europy*. Laqueur jednoznacznie wieszczą upadek Europy przez fiasko integracji, bezrobocie wskutek informatyzacji (krytykuje on pomysł cywilizacji, w której tylko 20 % ludzi pracuje, a 80% ogląda TV — moim zdaniem przesadza), zbyt małą konkurencyjność ekonomiczną, i zalew imigrantów wrogich europejskim wartościom, zapominając, że trudno jest przewidzieć wszystkie zmiany wynikające z tych faktów, a także o tym, że problemy cywilizacyjne rozwiązuje się jeden po drugim stopniowo, więc prawdopodobieństwo, że te zagrożenia dadzą jednoczesny skumulowany efekt jest małe, tak samo jak prawdopodobieństwo rzekomego buntu maszyn. Warto przy okazji zauważyć, że np. Japończycy nie boją się maszyn i nawet uważają (zgodnie z szintoizmem i taoizmem), że mają one coś w rodzaju duszy, stąd o wiele mniej mają oporów wobec np. humanoidów. Znany profesor Hiroshi Ishiguro, który swego robota-humanoida wysłał nawet na konferencje, by wygłaszał te wykłady, które on by wygłosił, gdyby miał więcej czasu.

## Pogarda wobec cielesności

To gardzenie ciałem pokrywa się w chrystianizmie z pogardą dla świata. Nawet w *Konradzie Wallenrodzie* można przeczytać: „cechowały go prawdziwie chrześcijańskie cnoty... pogarda świata”. Wierzący często podporządkowują problemy tego świata problemom świata tamtego, o którym nic

pewnego nie wiedzą, i którego najpewniej nie ma. Pogarda ciała przeniknęła naszą kulturę tak głęboko, że nadal zakonnice odruchowo plasujemy ponad prostytutką, choć tylko ta druga pracuje uczciwie na chleb. Może dlatego, niepokorni reżyserzy tak często obnażają hipokryzję, jednocześnie promując postać „dziwki o złotym sercu”. Nawet człowiek o otwartym umyśle często wstydzi się tego co cielesne. Erich Maria Remarque zauważył w powieści: *Kochaj bliźniego (Liebe deinen Nächsten — 1941)*, że nigdy nie wstydzimy się złych rzeczy, a jedynie tych które wiążą się choćby pośrednio z seksem. Poczucie winy seksualnej, jak zauważył jeden z czytelników portalu racjonalista.pl gwarantuje, że zawsze będą jacyś grzesznicy do zapędzenia do Kościoła. Jak wykazał Deschner cała polityka wczesnego chrześcijaństwa oparta była na walce z bóstwami i symbolami fallicznymi, co wskazywałoby na to, że Nietzsche miał rację, mówiąc o buncie brzydkich i słabych. To też może być przyczyna dlaczego tak bardzo nawet dziś szokuje nas japoński skrajny praktycyzm w sprawach seksu (wielkim zainteresowaniem mediów Zachodu cieszył się tokijski zakład, oferujący tysiące stosunków oralnych jednocześnie), czy zakwaterowania (kapsuły noclegowe w hotelach). Japonia i Chiny dotknięte są o wiele mniejszą obsesją ciała i duszy niż Zachód.

## Egocentryzm

Kolejnym obok anty-cielesnej obsesji, lęku wobec techniki i przyszłości oraz przejawów ludzkiej emancypacji, wrakiem filozofii, a raczej doktryny chrześcijańskiej, obecnym w naszej kulturze jest pewien specyficzny typ egoizmu i egocentryzmu. Czołowy amerykański racjonalista (jeden z filarów założonego przez Sama Harrisa [The Reason Project](http://www.project-reason.org/) (<http://www.project-reason.org/>)), nowojorski komik i komentator polityczny Bill Maher kpił w jednym ze swych komediowych występów z tego, że duży procent mieszkańców USA wierzy, że Jezus wróci na ziemię za ich życia, no i oczywiście będzie zainteresowany spotkaniem z nimi... Chrześcijański egocentryzm jest egocentryzmem dość przewrotnym, ponieważ chrześcijanie każą nam z jednej strony pochylać nad losem ubogich i nawet przyznawać im rację w sporze z bogatymi, tylko dlatego, że są biedni (metodyści i kalwiniści są tu wyjątkiem, bo oni traktują bogactwo jako dowód łaski, a więc i racji), z drugiej jednak uważają się za lepszych z racji udziału w rzekomym bożym planie, w którym to planie oczywiście zaklepują sobie pierwszoplanową rolę. Stąd właśnie wiele filmów nieproporcjonalnie uwypukla losy głównego bohatera, jego zmagania i momentu zbawienia, tj. nagrody za trudy, minimalizując rolę innych bohaterów i odpowiedzialności jednostki za podjęte wybory. Zamiast tego mamy ślepy los, szczęście i łaskę bożą dawaną nawet temu, kto specjalnie niczym na nią nie zasłużył. Ten kontrast między marnością człowieka a pozytywnym zbiegiem okoliczności jest takim ukrytym: „chwalmy Pana !”. Absolutyzacja znaczenia własnych losów typowa jest dla maluczkich i ich strachu przed maluczkością. Chrześcijaństwo pozwala maluczkiemu poczuć się wyżej w hierarchii społecznej i własnych oczach dzięki uczestniczeniu w domniemanym niebiańskim planie.

## Nadmierne poczucie misji

Emanacją religijnego egocentryzmu jest tzw. „etos pracy”, któremu też poświęciłem już jeden artykuł. Tak jak religia futbolizmu, to raczej antyczny kult sprawności i siły, etos pracy to (czy etos „słodkiego jarzma pracy”) pozostałość pseudobiblijnej mentalności, która nadal bywa bardzo szanowana nawet przez liberałów, czyli tzw. etos pracy. Nie chodzi tu jednak o to, czy należy pracować i znajdować w tym radość czy nie, lecz o skłonność do pryncypialnego potępienia próżniactwa. Na to zjawisko zwrócił uwagę Tom Hodgkinson brytyjski autor urodzony w 1968 roku, a od 1993 roku wydawca czasopisma: „The Idler” czyli „Próżniak”, na wzór pisma o takim samym tytule do którego artykuły pisał XVIII-wieczny idol Hodgkinsona Samuel Johnson. Hodgkinson, podobnie jak opisywani przezeń wybitni ludzie (Oscar Wilde, Mark Twain, Samuel Johnson, Robert Louis Stevenson, Henry David Thoreau, Albert Einstein i Jerome K. Jerome itd.) jest zwolennikiem powolnego i próżniaczego trybu życia. Hodgkinson przyznaje, że całą książkę napisał by uleczyć swe wieloletnie poczucie winy z powodu fizycznej niemożności zwleczenia się rano z łóżka, zapewne biedak ma niskie ciśnienie, wiem coś o tym... Autor pisze sporo o licznych biblijnych potępieniach lenistwa, jako o źródle naszego poczucia winy, kiedy przez chwilę nic nie robimy i mamy tzw. chwilę dla siebie. W pewnym sensie ten rodzaj poczucia winy podobny jest postawie znerwicowanych matek, które wyrzucają sobie np. to, że wydały parę groszy na swoje potrzeby, a nie na przykład na zaspokojenie zachcianek dzieci. Pryncypialne poświęcanie się dla innych, nawet jeśli inni odbierają to jako manię kontroli i tyranie, i nawet gdy prowadzi do destrukcji też jest takim postchrześcijańskim odpadkiem. Bardzo inteligentnie Hodgkinson rozprawia się z „purytańskim pracusiem” Benjaminem Franklinem, który obok wielu mądrych rzeczy palnął też głupstwo: „kto rano wstaje temu pan bóg daje” (*early to bed, early to rise, makes a man healthy, wealthy and wise*), a przecież wiadomo, że

daje on głównie: artystom, politykom i biznesmenom, czyli tym, którzy NIE wstają rano. Jest to oczywiste, ponieważ dobry pomysł, który da pieniądze przyjdzie do głowy nie zmęczonemu urzędnikowi „godzina piąta, minut trzydzieści”, lecz wypoczętemu człowiekowi, zdolnemu do refleksji. Zresztą, o ile pamiętam Franklin powiedział też: *time is money*, i tu może nawet by się nie mylił, mógłby to być czas takiej właśnie owocnej drzemki. Słowem, etos pracy to kolejna rzecz do odczarowania. Niektórzy wierzący traktują swą pracę jako arcyważną misję tak samo jak przypisują sobie arcyważną rolę podczas rzekomego zbawienia. Ciekawe jest to, że (post)chrześcijańskie potęgi takie jak UE a zwłaszcza USA, boją się ekspansji Chin i Indii, bo przypisują im błędnie (co zauważył Fareed Zakaria), misyjne podejście do ideologii politycznych, tymczasem ani konfucjanizm ani hinduizm nie wysyłał misjonarzy na Zachód (choć Leibniz żałował, że uczniowie Konfucjusza nie robią tego w Europie co jezuita w Chinach...).

## Wiara w moc pustych słów

Z duchem (post)chrześcijańskiej hierarchii łączy się nadmierna wiara w moc słów. Z tego oparu chrystianizmu częściowo zdołaliśmy się już uwolnić, nie pamiętamy już, że kiedyś słowa: *bless you* miały na serio zbawić od dzumy, lecz nadal często procesujemy się o słowa, karzemy bluźnierstwa i „mowę nienawiści” (która powinna być zawężona tylko do jawnego nawoływania do ludobójstwa i prześladowań), nadal potępiamy też wulgaryzmy, choć jedyne co one ranią to nasze nadymane ego. Claude Levi-Strauss pisał, że modlitwa różni się od magii, tym, że zakłada postawę błagalną zamiast sprawstwa, podczas gdy mag wpływa na bóstwo zamiast prosić o danie mu czegoś. Jednakże wbrew temu podziałowi, chrześcijanie liczą, że słowa modlitwy wywołają efekt niczym magia. Mówiąc: „przepraszam” ludzie o chrześcijańskiej mentalności zakładają, że wywołają tym rzeczywistą skruchę. Tak rodzi się purytańska hipokryzja. Tymczasem znajomy mówił mi o przygodzie dziennikarza, który oskarżył pewnego biznesmena o złodziejstwo lub korupcję, nie miał jednak wystarczających dowodów, więc sąd kazał mu przeprosić owego biznesmena, którego nazwiska zapomniałem. Przyjmijmy więc, że miał on nazwisko Wiśniewski. Dziennikarz „przepraszam” go mówiąc: „Wiśniewski nie jest złodziejem ?!” kończąc wyraźną oznaką zaskoczenia i szoku. Przykład obrazuje nam jak niewiele znaczą słowa, a jak wiele kontekst. Mamy jednak „Słowo Boże”, które jakoś nie zważa na kontekst...Musimy jednak pamiętać, że równie stary numer jak przecenianie znaczenia słów to osądzać „swoich” po słowach (tj. pobożnych życzeniach), a wroga po czynach (np. pisma Św. Tomasza *versus* gułagi, lub „Manifest komunistyczny” *versus* proces inkwizycyjny). Można też wspomnieć ultrakatolickiego ambasadora Portugalii usiłującego wepchnąć inwokację do boga w preambułę traktatu wersalskiego (historyk i dziennikarz katolicki Kuehnelt-Leddin był autentycznie przekonany, że ten brak mógł skutkować nietrwałością pokoju!), coś nam to przypomina, prawda?

## Determinizm historyczny

Ostatnim (post)chrześcijańskim zanieczyszczeniem naszej cywilizacji do jakiego chciałbym się odnieść, jest — z mora historyków — skłonność do szukania na siłę związków przyczynowo-skutkowych i ukrytego sensu. Bezskutecznie David Hume przestrzegał przed braniem koincydencji za związek przyczynowo-skutkowy, lub co gorsza związek konieczny. Chrystianizm każe też naukowcom szukać ukrytego sensu istnienia człowieka, i co gorsza absolutyzację tego sensu. Tymczasem każdy rozsądny człowiek wie, że nie ma czegoś takiego jak sens życia w para chrześcijańskim znaczeniu, tj. że nie ma absolutnego sensu życia. Możliwe, że rację ma komik amerykański Jerry Seinfeld twierdząc, że lubimy książki, bowiem „jeśli chcemy nudnej długiej opowieści bez sensu, to mamy nasze życia...”. Jedyne sens życia jest subiektywny i dotyczy naszych bliskich i znajomych i naszego postępowania wobec społeczeństwa, za co jedyną nagrodą jest wzajemność życzliwości i szacunku. Pomysł, że ma istnieć byt jaki waży nasze uczynki i ocenia je „obiektywnie” jest absurdem. Nawet deści w to zwykle nie wierzą. Niestety chrześcijański czas linearny, który wprawdzie wyparł równie nieprzydatny intelektualnie antyczny czas cykliczny (ery złote, srebrne i brązowe), przewidujący jakieś milenium i związaną z nim nagrodę każe wielu budować rozmaite historyczne mity, takie jak marksistowski mit wiecznej szczęśliwości po rewolucji (Marks) czy tzw. wigowski mit historyczny zakładający, że cały czas następuje postęp cywilizacyjny, że regresy są złudzeniem i ludzkość zmierza ku ideałowi wolności, którym może być system amerykański (Condorcet), nowoczesna biurokracja będąca niejako emanacją rozumu (Hegel i rozum dziejów) czy liberalna demokracja dla wszystkich narodów (Fukuyama, którego praprzodkiem intelektualnym pod tym względem mógłby być Burke). Zabawne jest to, że papież (nie pamiętam

numerka starca piotrowego:) potępił w 1950 roku historyzm (to to samo co historycyzm, bowiem historicism jest anglosaską wersją słowa Historismus), na równi ze „skrajnym” ewolucjonizmem, egzystencjalizmem i pragmatyzmem! Wiem to z lektury dzieła: „Ślepy tor” (s. 213) austriackiego konserwatywnego katolika Erika Kuehnelta-Leddina, jakże to znamienne, że katolik nie wychwytił „własnego” chrześcijańskiego historyzmu, za to doskonale zauważa ten konkurencyjny condorcetowsko-marxistowski. Tymczasem nic nie potwierdza słuszności determinizmu historycznego, przeciwnie Voltaire, Nietzsche i Kant uczą nas, że o postęp trzeba walczyć i wystrzegać się regresu „wieków ciemnych”. Absolutyzacja związków przyczynowo-skutkowych prowadzi do szukania przez słabsze umysły na siłę jednej praprzyczyny danych zjawisk. Na przykład konserwatyści chrześcijańscy, powołując się na Hegla, upatrują jedynej przyczyny rewolucji 1789 roku w wyparci się boga, tymczasem nie ma jednej przyczyny rewolucji francuskiej. Historycy wymieniają wśród owych przyczyn niezdecydowanie Ludwika XVI, niekorzystny traktat handlowy z W. Brytanią, uniemożliwienie kariery w armii nie-szlachcicom, brak popularności Ludwika XVI w armii (był gruby, ospały i nie dbał o linię), nieurodzaj i „zdradę” arystokracji, której część stanęła w awangardzie oświecenia. To jeszcze nie wszystko. Przy okazji warto nadmienić o rewolucji niderlandzkiej skierowanej przeciw liberalnej obyczajowo elicie tzw. „regentów” w 1787 roku, a więc dwa lata wcześniej od Francuskiej. Otóż tę rewolucję holenderską duchowni (kalwińscy) poparli twierdząc, że bóg jej chciał.. To jak to jest z tym nieodzownym rewolucyjnym wyparciem się boga?

Wyszukiwanie więc jednej przyczyny to szukanie na siłę diabła, który stoi za wszystkim co złe, a więc głupota niegodna człowieka cywilizowanego i brak respektu wobec bogactwa i różnorodności świata. Od wymuszonego monoteizmu lepszy już jest politeizm, który przynajmniej dostrzega tę różnorodność, choć oczywiście najlepiej jest wyswobodzić się z magicznych oparów in toto. Masońska dewiza podkreślająca znaczenie różnorodności, do której jak pisał Anatole France zawsze wolność prowadzi: „jeśli jesteś inny niż ja, nie obrażasz mnie lecz wzbogacasz”, dla miłośników „jedności (czy też jednolitości) w Chrystusie” jest tylko diabelskim dzieleniem włosa na czworo i spiskiem żydo-komuny...

### **Piotr Napierała**

Urodzony w 1982r. w Poznaniu - historyk; zajmuje się myślą polityczną oświecenia i jego przeciwników i dyplomacją Francji i Anglii XVIII wieku, a także kwestiami związanymi z ustrojem państw (Niemcy, Szwecja, W. Brytania, Francja) w tej epoce.

[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)



(Publikacja: 02-08-2012)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8230) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,8230>)

Contents Copyright © 2000-2012 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2012 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.

Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną



własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)